

Nie wierzę w siebie

665
Rozmowa z Ryszardą Hanin

— Zagrała pani dużo elokwencyjnych ról. Czy zawsze chętnie we wszystkie postaci się pani wcielała?

— Nie lubię specjalnie klasyki. Zdam sobie sprawę, że nie mam głosu krystalicznego i czystego i bezwzględnie do dobrej dykcji, potrzebnej w tym gatunku.

— Głos ma pani bardzo charakterystyczny. Myślę, że dzięki niemu automatycznie jest pani rozpoznawana.

— Nie specjalnie, poza chrypką, charakterystyczny. Aczkolwiek prawdą jest, że gdy gdzie się odezwę, ludzie natychmiast mnie rozpoznają.

— Intelaktualnie, czy też intuicyjnie podchodził pan do granej postaci?

— Był kiedyś taki znakomity aktor — Lapiński. On nie był intelektualistą. Często nie czuł poetyki utworu, w który grał przez niego postać była wkomponowana. Ale, gdy wchodził na scenę, był genialny. Wydawało się, że jego sceniczna wiarygodność opiera się na tysiącach przeczytanych książek. A ja nie wiem, czy przeczytał choć jedną. Nie chcę się z nim równać. Ale często w rolę, poza wszystkimi niezbędnymi mi wiadomościami, wkładam intuicję amatorską. Czasem daje to bardzo ciekawe efekty, a czasem nie. Czasem wchodzi w rolę, jak w „masło”. Czytam scenariusz i wszystko już wiem. A czasem postać jest mi szalenie obca, nie tylko literacko, ale i osobowości.

— Wtedy powinno się chyba odmówić?

— W teatrze nie zawsze można. Rzadko odmawiałam grania roli. Aczkolwiek bywało. Wielokrotnie dyrektor nie przyjął mojej odmowy i musiałam mierzyć się z postacią. Robiłam to na zasadzie strasznego sprzeciwu i wstydu... Niemniej były to po przeczeki, które, choć z trudem, udawało mi się przeskończyć. Udowodniłam tym sobie, że są we mnie predyspozycje, które w tym zawodzie trzeba mieć.

— Czyli ten zawód zaskakuje?

— Tak, i to bardzo często. Publiczność jest wrogiem. Albo weźmie się ją za chabety, albo nie. Aktor wchodząc na scenę, przed widownią, nie może mieć poczucia, że wchodzi przed przyjaciół. To jest walka z widownią. Zwycięstwo odczuwa się nie po oklaskach, ale w ciszy... Często przygotowuje się spektakl z poczuciem sukcesu, bo i wspaniała obsada, i znakomity reżyser. Wszystko jest wspaniałe, a potem premiera i niewypał. Czasem pracuje się z poczuciem klęski. Dochodzi do premiery i nagle sukces. W tym zawodzie nigdy niczego z góry nie można przewidzieć.

— Gra pani często kobiecy ciężko doświadczony przez los, które, jak pani mówi „nie znalazły szczęścia na tej ziemi”.

— Widocznie coś takiego we mnie musi być, że tak mnie obsadzają.

— Ale pani w tych rolach czuje się, jak ryba w wodzie. Czy zatem można powiedzieć, że pani nie znalazła szczęścia w życiu?



Ryszarda Hanin: W tym zawodzie nigdy niczego z góry nie można przewidzieć.

— Wiele go nie zaznałam. Ale ja się z tym nie obnoszę. Staram się nie mieć wypisanej na twarzy jakiejś boleści czy rozpacz. To dopiero wychodzi, gdy się we mnie trochę poskrobie. Na co dzień staram się wyglądać pogodnie.

— Zatem smutek w pani drzemle, a pani udaje, że go nie ma?

— Tak, udaję. Jestem introwertem. Wszystko w sobie tłumię, w sobie chowam. Nie

umiem się wyladować. Ponadto wydaje mi się, że wszyscy ludzie inteligentni i kulturalni udają. No bo co innego mają robić?

Uwielbiam oglądać telewizję, a w niej reportaże, w których ludzie nie wiedzą, że są rejestrowani przez kamerę i zachowują się naturalnie. Lubie podglądać ludzi prostych, w dobrym tego słowa znaczeniu, dzieci i zwierzęta. Lubie naturalność, na którą zazwyczaj mnie nie stać.

— Ale chyba poprzez aktorstwo łatwiej pani zrozumieć siebie?

— W jakimś sensie, tak. Poprzez ten zawód aktor uczy się psychologii, uwrażliwia się na drugiego człowieka. W jednym z wywiadów powiedziałam, że chciałam zostać pielęgniarzką. Myślę, że byłabym dobrą pielęgniarzką, ponieważ wszystko w człowieku mnie interesuje. Będąc w innym kraju, bardzo lubię pójść do kawiarni i obserwować ludzi. Najbardziej lubię obserwować ludzi nie znających ich języka. Wtedy do ich zachowań dobudowuję sobie całą literaturę.

— Czy aktorka traci kobiecość?

— Kiedyś widziałam, jak Sophia Loren przybyła na festiwal do San Sebastian, ze swoimi „goryłami”, ze swoją fryzjerką, z garderobianą. A myśmy mieli tylko po pięć dolarów na dzień... Aktorka w Polsce zmuszona jest chodzić z siatami pełnymi zakupów, stać w kolejkach. I w tym sensie tracimy kobiecość. Ale przecież nie dotyczy to tylko aktorek. Aktorki w Polsce uprawiają swój zawód maksymalnie długo — do emerytury, do końca życia. Natomiast mężczyźni w tym zawodzie szybciej się zniechęcają. Sięgają po reżyserię, chcą być dyrektorami, albo zajmują się sprawami społeczno-politycznymi. Po prostu, w pewnym momencie swojego życia zaczynają się wstydzić zawodu.

— Ale pani też sięgnęła po reżyserię?

— Tak, zrobiłam reżyserię. Ale nie ciągnie mnie do niej. Być może jestem zbyt leniwa. Reżyseria wymaga wielu umiejętności organizacyjnych. Owszem, lubię pracę z aktorami, ale jak zaczynają się sprawy administracyjne, techniczne, czuję się bardzo zmęczona i zniechęcona.

(Dokończenie na str. 11)

Nie wierzę w siebie

(Dokończenie ze str. 6)

— Powiedziała pani, że byłaby dobrą pielęgniarzką. Czy śluzę pani wyboru zawodu aktorskiego?

— Dużo miałam momentów w życiu, kiedy żałowałam wyboru tego zawodu. No cóż, w życiu chyba każdego człowieka bywają momenty sukcesu i chwile załamania, utrata wiary w swoje możliwości. Często sobie myślałam, że zawód pielęgniarstwa byłby właściwszy, że kosztowałby mnie mniej stresów. Często biorąc pod uwagę stresy tego zawodu, zastanawiałam się, czy to się opłaca, przecież mamy tylko jedno życie.

— Jak pani by siebie scharakteryzowała?

— Nie jestem osobą witalną. Nie umiem pracować nie zdopingowana. Poza tym, nie mam jakichś oryginalnych cech. Koleżki i koleżanki uważają mnie za spokojną i zrównoważoną osobę. Ale to nie jest prawda.

— Kiedyś na spotkaniu z widzami, zapytana — czy wierzy w siebie, odpowiedziała pani, że nie. Jak można być wybitną aktorką i nie wierzyć w siebie?

— Trzeba wierzyć. Ale ja nie wierzę w siebie i to bardzo szkodzi mi w życiu aktor skim. Nigdy do końca nie wierzę, nie mam pewności. Pracując nad rolą, najbardziej lubię etapy prób. A jak dochodzi do premiery, to najchętniej zrezygnowałabym z roli, najchętniej nie zagrałabym jej. To jest psychiczny mankament. Podobnie jest z tremą. Wszyscy aktorzy ją mają. Ale niektórzy mają tremę twórczą, a niektórzy paralizującą. Ja mam tremę paralizującą. Niektórzy aktorzy przed premierą czują się jak konie, które do syta najadły się owsa. Bardzo się cieszą. A ja nienawidzę tego momentu.

— Czy ten zawód bardzo pani zdeformował?

— Nie wiem, czy bardzo. Ale na pewno mnie zdeformował. On strasznie oddziałuje na życie prywatne. Rzadko się zdarza, by życie prywatne aktora godziło się z zawodowym. Zawsze coś za coś. Nawet mając urlop, aktor nie wylacza się z życia zawodowego. Kiedyś doprowadziliśmy tuż przed wakacjami do premiery. Czulałam, wie działałam, że będzie wspaniale. Potem mieliśmy dwa miesiące przerwy. Po tym okresie nie mogłam wrócić do swojej roli. Nie umiałam odtworzyć tej postaci, tak jak powinnam. Być może coś w moim wnętrzu się zmieniło. Długo trwało, zanim ponownie weszłam w skórę tej postaci.

BOGDAN KUNCEWICZ